

okna i dostrzeża Baškę i Antka, jak ze śniegu wspaniale lepią bałwany, jak zgrabnie, wesoło, rozkosznie suną sarneczki po śniegu.

Łzami wówczas zachodzą mu oczy, a serce się żali:  
— Czemu oni mogą, a ja nie!

Tam znowu stada wróbla tańczą ochoczo, tu pies podwórzowy biega swobodnie, tylko on jeden zamknięty — taki biedny, taki nieszczesny.

Starzy pracują dzień cały na Leśniczówce, siostra robi w domu porządkę, gotuje strawę, którą następnie w dwojczkach nosi rodzicom, we wolnej zaś chwili odchodzi do sąsiedztwa, a malca na klucz zamyka.

— Ligaj se spokojnie! — przykazuje — aż ja przyjdę.

W pierwszych dniach gorzkiej niewoli, w pustej i zimnej chałupie, wybuchał Józko gorącym płaczem, mიაlł się na ziemi, przyczepiony do spodnicy matejowej skomlał, wił się... Nie pomogły nań łajania ni kułaki.

— Matusi, matulu najmilejsza! wołał rozpaczliwie. — Ja się boję...

— A ty, maszkaro, czego się boisz po próżnicy? zawołała raz matka. — Przecik anioł stróż jest nad tobą.

Słowa te, wyrzeczone w prostocie ducha, czy wskutek dyplomatycznego wyrachowania, uspokoiły Józka znacznie.

Nie krzyczał już, nie płakał. Spoczywa na tapczanie obok pieca, siostra rzuca nań starą ojca opończę a do ręki daje kilka upieczonych kartofli. Wysysając je leży chłopak na wznak z rękoma splecionymi i w głębokiej pogrążony kontemplacji.

— Maryś! woła z zadumy. — A kto to jest ten anioł-stróż?

Ona odpowiada łagodnie, pouczająco. I matuś wieczorem ślicznie mówi, jako każdy człowiek ma swego anioła, który nad nim czuwa z wysoka, strzeże go i broń, a czasami schodzi też na ziemię. Białe on, jasny i czysty, jak słońko, ubrany w błękit i złoto, a na skrzydłach unosi się nad tymi, co grzeczni są i dobrzy.

Z roziskrzonymi oczyma patrzy chłopię w twarz opowiadającej. Olśnionym wzrokiem, rozgorączkowaną wyobraźnią podąża w tym kierunku, i tak w długich godzinach samotnych rozmyślań wytworzył sobie obraz cudny i oblał go wszystkimi promieniami tęsknącej, wybujałej swej duszy.

Nie czuł się już opraszczonym, głód i chłód już mu tak bardzo nie dolegały. Był przecież pod skrzydłami opiekunych anioła-stróża.

Mimo to bieda i cierpienia nie przestawały trapić Józka. Dusił on się między czterema ścianami, bez ruchu, bez powietrza. Dzika go czasem napadała chęć i rwał się, by skakać, biegać, koziołki wywracać — lecz nogi mu z zimna rychło kostniały a ciało krzepło. To znowu wołał do siostry: jeść. Maryś, jeść chce! a ona tylko kartoflę mogła mu usta zatykać. Płakał Józko w takich chwilach, gorzko płakał i raz zapytał: A mój anioł gdzie?

Wieczorem izba się ożyiała. Przy słabem świetle „skalki“ z drzewa sosnowego, lub przy łuczywie kopcem siedziała matula z igłą lub kądzielą w reku a z skarżą i jękiem na ustach. Później wpadali tatuś prosto z karczmi, z krzykiem i łoskotem. Rzynał miską o podłogę, żonę „przetęrał“, że padała jak nieżywa, a płaczącego mu się pod nogami z głośnym płaczem Józka kopał i deptał.

— A mój anioł gdzie? myślał wówczas chłopczyzna.

— Maryś! wołał niezliczone razy. — Musi ty już go widziała?

Natarczywość ta znecierpliwiła siostrę.

— Pomieszaloc ci się we łbie, maszkaro utrapiona! ofuknęła go gniewnie.

Odprawiony przez siostrę, udał się Józko do matki i szarpał ją za rękaw:

— Opowiadajta-że matuś!

— Robacku mój miły! wołała ona w rozczuleniu.

— Ano słuchaj. Był sobi raz taki bidny gospodarz. Pojechał se do lasa..

Józko silniej ją targnął.

— Nie to, matuś, nie to!

— Cóż ino? Zawždy to samo? Słuchaj. Jeden król miał trzech synów..

Tu jeszcze niecierpliwse szarpnięcie.

— Nie chcem, matuś, nie to!

— Tylko? o zaklętym królewicu? o żołnierzach?

Nie mogąc zaspokoić ciekawości jego co do anioła stróża, rozgniewała się matka na końcu.

— Ty bąku zatracony! wołała. — Cięgiem chciałbyś to samo... Spać lepiej.

Ze spuszczoną główką i gorącym sercem klękał wtedy malec na gołej ziemi, składał ręce i z przejęciem się jął odmawiać:

— Aniele stróżu mój — Wiecznie przy mnie stój — Jak we dnie tak i w nocy — Bądź mi ku pomocy..

Potem kładł się, najczęściej na ziemi, gdzie kilka wieprzaków, jedyny dobytek biednej rodziny, miało w zimie stałe swoje legowisko. Czasem dusiło go tam coś i bodło niemilosierdzie, tak że nie mógł oddychać, i bezwładny, jak z ciężkiego więzienia na tortury wzięty, z bólem w sercu i zamętem w głowie, rozmyślał o swej biedzie.

— Muszę kiedyś zobaczyć mego anioła-stróża! postanowił raz, gdy dotychczasowe westchnienia i prośby modlitewne do niebiańskiego opiekuna nie ulżyły gorzkiej jego niedoli.

— Muszę go widzieć..

Powziąwszy taki zamiar, pieścił się nim malec, rozkoszował, jak kluczem mającym otworzyć wrota raj. I lepiej wyciągał się na mierzwie, która ogrzana, stawała się miękka i ciepła; przytulał się do swych towarzyszy. prosiątek, co go mile grzały i głaskały, i wśród ich pomruków i kwików, wśród piekielnej wrzawy pijanego ojca, lub głębokiego chrapania całej rodziny, zasypiał niespokojnie, widząc nad sobą białą skrzydlatą postać, z różczką w ręku i miłością w oku.

\* \* \*

Ciepłym oddechem owionęła wiosna ziemię całą, blaskami ją opromieniła, zalała świeżością i wonią. Józko opuścił teraz leże zimowe i przeniósł się do ogromnego, przestronnego mieszkania, gdzie światła i powietrza jest podostatkiem i swobody i rozkoszy — pod gołe niebo. Najprzód w sieni, potem na podwórzu, nakoniec na szerokim gościńcu, w miarę odwilży i ustalenia się pogody, dreptał jak kaczka, rozszerzając szeroko żrenice, pakując ze zdziwienia dłoń całą do ust. Długie odosobnienie atoli i życie w sobie zamknięte wywarło swój skutek: zatarło i pomieszało mu w pamięci widoki i wrażenia przeszłości, i rzuciło mgłę na oczy i bezsilność na ciało, tak że chodził, „nikiej tuman“ senny, milczący, apatyczny. Zaczął żyć wyłącznie ze swymi marzeniami.

Odnowił znajomość ze zeszłoroczną kompanią, składowając się z dziećmi sąsiedzkich. Rej tam wodził Antek Bartkowy i Baśka. Dawniej hulał Józko wraz z nimi, hulał! aż się kurzyło, był hersztem i mistrzem, a teraz stał się niezdara, „niemrawcem“. Kiedy cała gromada dzieciaków, z ogromnym piskiem i rejwachem gonila gęsi lub budowała pałace; kiedy wszystkie oddawały się z całego serca wesołym figlom i psotom i zabawom — on, w zgrzebnej koszulinie i postrzępionych spodenkach siedzi na